Lwów, 1. Sierpnia. Nr 91. Rok 1854.

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie.
Biuro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

DZIWO - ŻONA.

Powieść spółczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

V.

(Ciąg dalszy).

Na ten łoskot zerwali się wszyscy z miejsc swoich i krzyknęli w takt społem, a ten okrzyk przestrachu zdał się być jakimś chórem piekielnym, złożonym ze wszystkich najprzeraźliwszych pisków i chrobotów, tem jeszcze straszniejszym dla pozbawionego już przytomności staruszka, że mu zawtórzyły djabelskiemi głosami obudzone w swych klatkach, małpa i papuga.

— A tóż co za gość taki głośny? — zawołał Edmund, idąc naprzeciw pana Dominika, który złamany we dwoje jak haczek, wybladły jak nocne straszydło, z oczyma zaokrąglonemi od podwójnego przestrachu i z wyciągniętemi rękami przed siebie, w których trzymał kapelusz i laskę, kłaniał się gospodarzowi i chciał coś koniecznie powiedzieć, ale ani słowa nie mógł wydusić ze siebie, tak mu wargi się zbuntowały i język odrętwiał.

— A! to stary Sieniawski! — zawołał po chwili Edmund, poznając gościa, — Sieniawski! wojewoda! kasztelan! chodź, siadaj, jedz, pij! jakże cię kocham, żeś przyszedł, chociaż nieproszony!... Bo przyznam ci się, że djabelnie nudna ta moja drużyna....

— Całuję nóżki pana Edmunda... pana hrabiego, — zaczął nareszcie jąkać pan Dominik, — ja najpierwej przepraszam... ja bardzo przepraszam...

— Ale co mnie tam będziesz przepraszał! ot! tutaj masz szklankę, gotową, nalaną, pij mości Sieniawski! Za zdrowie Mikołaja wojewody, który wygrał dwanaście batalij!

To mówiąc, podawał mu szklankę pełną, którą był nalał dla siebie, ale Sieniawski odsunął się od szklanki i zaczął się wymawiać:

— Ale panie hrabio, ja tutaj przyszedłem...

— Ale wiem, że przyszedłeś, — przerwał mu Edmund, przecież leżą jeszcze ślady twojego pochodu na ziemi..... czerepy porcelanowego zegaru i marmurowej kolumny..... Idziesz jak Dżengis-Chan chadzał swojego czasu, jak Tamerlan, jak Attyla, druzgocąc wszystko i niszcząc za sobą... ale tu masz! pij!... pij! kiedy ci daję....

Na wspomnienie zegaru i kolumny mrowie przeszło starego archiwistę, zląkł się i upadł na duchu; więc chociaż czuł to dobrze, jak nieprzyzwoicie dla niego pić w takiej kompanii, wziął jednak szklankę z rąk Edmunda i wypił ją do dna.

— Otóż tak! tak to dobrze! tak ciebie lubię! siadajże teraz tu przy mnie i będziemy pić razem.

— He, he, he! pan hrabia tak łaskaw na sługę swego... ale ja tu przyszedłem do pana w wielkim smutku, w nieszczęściu...

— A co mnie tam do twoich smutków i nieszczęść! siadaj tutaj i koniec!

— Ale panie hrabio, to nasze wspólne, to nas wszystkich... tak się przynajmniej spodziewam...

— Co wspólne? — zapytał Edmund, przysuwając talerze dla Sieniawskiego i nalewając mu nową szklannicę, coś pleciesz trzy po trzy. Przecież my obadwa nie mamy nic wspólnego ze sobą!

— Nic wspólnego ze sobą! — powtórzył z westchnieniem ubogi mieszkaniec przedmieścia, — tak, nic! żebyśmy tylko nieszczęść wspólnych nie mieli!... Ale tu właśnie nieszczęście... nieszczęście, które...

— Cha cha cha! cóż to za nieszczęście, które?

— Tak!.... które.... bo to pewnie jakieś nieszczęście musiało spotkać naszego Kamila...

— Kamila! cha cha cha! błazen i koniec! Wiedziałem, że się tak skończy.

— Cóż, cóż to się stało?

— Jakto? nic nie wiesz? cha cha cha! to zabawne!

— Cóż on zrobił takiego?

— Co zrobił? a cóż może gorący łeb zrobić innego, jak głupstwo! Głupstwo zrobił i uciekł!

— I cóż to za głupstwo? mój panie hrabio!

— Ej! bo mnie nudzisz staruszku! coś tam! nie wiem... coś powiedział, napisał, czy coś tam takiego... krótko mówiąc, głupstwo... Sam go wywiozłem o dwie mile za miasto.... i słuchaj! pędzili za nami..... cztery roty huzarów.... Ależ moje kasztanki! Archiwisto! chciałbym, żebyś był widział jak parły... jak się wyciągały... jak struny!

— Głupstwo zrobił i uciekł! — zawołał Sieniawski, patrząc w oczy gospodarzowi bankietu i sam niewiedząc, co ma myśleć o tem wszystkiem, bo nie pojmował zupełnie, co-by to być mogło takiego, dla tego zaraz zapytał: — No głupstwo..... to dobrze... ale dla czegóż tak zaraz uciekać?

— Cha! cha! cha! — zaśmiała się chórem wszystka młodzież przytomna, że aż w uszach zaszumiało staremu archiwiście, — cha! cha! cha! — zaśmiał się Edmund, to jakżeż miał czekać, póki go nie wezmą za kołnierz? cha! cha! cha! wyborny jesteś mój wojewodo!

— A... a... a... bąknął na to pomięszany staruszek,— nie musiało być głupstwo, tylko jakiś występek a może zgoła *crimen* jakie?

— Ale *crimen, crimen*... tylko daj mi już pokój... siadaj tu, masz talerz, masz szklankę...

— *Crimen!* — powtórzył chropawatym głosem staruszek i stanął jak skamieniały na miejscu.

— No *crimen!* ale siadaj-że już raz! w ręce twoje... za zdrowie tych, którzy... no siadaj-że mości Sieniawski....

— Nie, nie, panie hrabio! — odezwał się na to, budząc się prędko staruszek, — nie, pić nie będę, muszę biegnąć do domu... upadam do nóg, przepraszam, dobranoc!

— Co? — zawołał Edmund gwałtownie, — dobranoc? poczekaj, niech-no się pierwej porachujemy...

— Porachujemy? a z czegóż?

— A! to mi się podoba! to potłukłeś mi zegar, podruzgotałeś kolumnę...

— Cha, cha, cha! — zaśmiało się znowu kilka głosów a drudzy poczęli się gromadzić около rozmawiających, przypatrując się przez lorynetki tej scenie i czyniąc sobie różne zabawne uwagi, które tem były dowcipniejsze, ile że oszczędny i wyrachowany archiwista na wspomnienie kolumny i zegaru, zbladł znowu jak ściana i z otworzoną na oścież gębą stanął naprzeciwko Edmunda, nie śmiejąc spojrzeć mu w oczy i nie wiedząc, co mówić.

— A widzisz, jak'em cię złapał! — rzekł na to Edmund; — kto tu wpadnie, ten lada czem się nie wykręci. Ale siadaj tutaj przy stole, popijemy ze sobą, pogawędziemy cokolwiek, a potem puszczę cię cało.

— He he he! pan hrabia dobrodziej tak łaskaw na mnie, — przemówił nareszcie Sieniawski, zapominając całkiem już o nieszczęściu Kamila i myśląc tylko o czerepach zegaru i marmurowej kolumny. A tymczasem Edmund odebrał od niego kapelusz i laskę, i nim go jeszcze przy stole zasadził, już wlał w niego dwie ogromne szklannice szampana, za zdrowie tych, którzy...

Poczuwszy wino w sobie stary archiwista a starszy jeszcze żołnierz, bo podkomendny Kościuszki, znalazł wkrótce, że to nie tak zła rzecz szklanka dobrego wina i pomimo kolumny i zegaru, które mu ciągle stały przed oczyma, rozweselił się trochę i wpadł w humor niezgorszy. Znudzona rospustną biesiadą rzesza zgromadziła się koło stołu, bawiąc się nowym swym towarzyszem, który pił coraz lepiej, uśmiechał się i czasem bardzo dowcipnie się to temu to owemu odcinał. Pomimo to wszakże widać, że co chwila przychodziła mu myśl ta niepojęta dla niego, w jakiej to się znajduje kompanii... Więc dziwnie ciekawem okiem rzucał to na te to na owe figury, aż nareszcie przysunął się do Edmunda i spytał go cicho:

— Proszęż pana hrabiego, któż to są wszyscy ci państwo? bo niby z ubioru i z miny wyglądają na magnateryą...

— Na magnateryą! cha cha cha! mój Sieniawski! Widać, żeś dawno nie wyłaził poza granicę Sieniawszczyzny! Piękna mi magnaterya!

— Ale przecie, któż to są ci panowie?

— Ba! żebym wiedział, że będziesz milczał...

— Jak grób panie hrabio!

— Otóż ci powiem, że to jest loża farmazonów.

— Farmazonów! tfu! panie hrabio! — zawołał na to już podcmielony i coraz więcej ognia nabierający Sieniawski, — a cóż to pan masz do czynienia z tem tałałajstwem!

— Cha cha! z tałałajstwem? to znasz ich?

— Ho ho ho! znam ja dobrze tych lisów! Ułowili oni mnie także raz, kiedym był młody, alem im dał tak dobrą nauczkę, że ją pewnie pamiętają do dziś dnia.

To rzekłszy, powiódł wzrokiem po wszystkich twarzach, chcąc się zapewne przekonać, ażali niemasz pomiędzy niemi której znajomej. A tymczasem Edmund nalał mu nową szklanicę i rzekł mu:

— No! pal stary farmazonów pogromco i opowiadaj! to będzie bardzo zabawne.

Sieniawski połknął jednym haustem całą szklanicę, otarł usta i tak opowiadał:

— Otóż kiedy zostałem ranny w bitwie pod Zieleńcami...

— Byłeś pod Zieleńcami? a! ty jesteś nieoceniony!

— Otóż będąc ranny w nogę lewą, powyżej kolana,— prowadził rzecz swoją Sieniawski, — tak mi się ta rana rozjątrzyła paskudnie, że i odprawiono bezemnie batalią pod Dubienką i jeszcze potem minęło ze cztery tygodnie, a ja jeszcze wciąż chodziłem na kuli jak dziad częstochowski. Tymczasem na tej ostatniej batalii skończyła się wojna. Bo chociaż sejm, zalimitowany z końcem miesiąca maja, oddał królowi naczelną władzę, jednak monarcha nietylko sam do obozu nie zjechał, aby to jakoś dodać ducha wojsku, ale jeszcze pisemnemi rozkazami wszystkim oddziałom cofać się kazał. Wydane potem zostały wici do pospolitego ruszenia. Lecz tuż po bitwie pod Dubienką król się inaczej namyślił, bo do Targowiczanów przystąpił i całkiem wojnę zasystował. Marszałkowie zanieśli protestacyę, ale bez względu na to stanął rozejm i mnie biednemu, pomimo to, żem już poczynał dobrze stawać na nogę, nie było już co robić ze sobą. Bo to mospanie! inne czasy były na świecie, człek był ciągle jak mysz na pudle i ani się mógł domyśleć, skąd co mogło na niego uderzyć.

— Tak coś niby jak dzisiaj w tym głupim kraju! — przerwał Edmund z goryczą, — ale mów dalej wojewodo!

— Otóż to ja natenczas, — ciągnął dalej Sieniawski, połykając całą szklanicę szampana, — wiedząc z doświadczenia, że to jakoś zawsze bespieczniej w mieście niżeli na prowincyi, przekradłem się do Warszawy. Jak to miasto wyglądało natenczas, napróżno-bym opowiadał Asaństwu, bo tego nie pojmie żadna głowa dzisiejsza. To tylko powiedzieć muszę, że taki tam stek był jakichś nigdy przedtem niewidzianych ludzi różnego gatunku, a między nimi tyle schadzek tajemnych, knowań, bajek, intryg, oszustwa i pan Bóg wie czego wszystkiego, że człowiek sam nie wiedział czemu wierzyć, z kim trzymać kompanię a nawet gdzie oczy obracać. Otóż przekonawszy się o tem, postanowiłem sobie przycupnąć w kąciku, nie wdawać się z nikim i czekać cierpliwie tego, co tam Bóg dla mnie przeznaczył. Ale to jak to zawsze, chłop strzela a pan Bóg kule nosi: tak też i ze mną się stało. Więc pomimo to, że ledwie z kilkoma ludźmi miałem bliższą znajomość, i pomiędzy tymi kilkoma musiał się znaleść jeden szelma farmazon!...

A kiedy tak pan Dominik, rozegrzawszy starą i zakrzepłą krew swoją i zabrawszy się do opowiadania długiej o farmazonach warzawskich historyi, w coraz lepszą wpadł fantazyę i ani myślał o powrocie do domu, — jego żona i córka, usiadłszy na ławeczce przy gasnącym kominku, czekały z niecierpliwością jego powrotu, ukrócając sobie czas długi rzewnemi wspomnieniami o zaginionym Kamilu. A wtem, kiedy tak siedzą i grobowa cisza panuje dokoła, dają się słyszeć niby ludzkie głosy z różnych stron domku, przerywane jakimś dzikim pochrzęstem pałaszów i karabinów. Na ten odgłos obydwie kobiety chwyciły się jednocześnie z przestrachu za ręce i wytężyły słuch, ażeby się przekonać, ażali ich ucho nie myli, — a wtem dało się słyszeć gęste i ciężkie stąpanie po sieniach, pomięszane z tymże samym pochrzęstem broni. Pani Sieniawska odgadła od razu co to być może i zawołała:

— Jezus Marya!... a mego męża niema w domu!

Hania zaś, odchodząc na połowę od zmysłów z przestrachu, wykrzyknęła tylko: O Boże! i objąwszy konwulsyjnemi splotami rąk matkę, przytuliła się do niej, tamując oddech w piersi i drętwiejąc na całem ciele. Widząc to matka, nachyliła się ku niej i chciała ją uspokajać, lecz sama tak była zalękniona i z przytomności obrana, że ani dosłyszała skrzypnienia drzwi w tym momencie, ani dojrzała wchodzących do izby oficera z urzędnikiem w mundurze.

Tymczasem urzędnik przybliżył się do niej, pokłonił jej się z grzecznością i najpierwej o jej męża zapytał. Ale ona nie umiała mu nic więcej odpowiedzieć, jak tylko tyle, że wyszedł i niemasz go w domu. Potem dawał jej tenże urzędnik inne pytania, lecz widząc, że się z nią nie dogada, powiedział jej kilka słów uspokajających, wyszedł do sieni, zawołał służącą, kazał sobie pokazać pokoik Kamila i wszedł tam z oficerem i z żołnierzami.

Po ich wyjściu obydwie kobiety odetchnęły cokolwiek, spojrzały sobie z niemą rospaczą w oczy i porozumiawszy się wzrokiem, zarzuciły czemprędzej jakieś chustki czy szale na siebie i wybiegły jak opętane do sieni, z sieni na ganek a z ganku na ulicę....

Tymczasem pan Dominik, popijając coraz energiczniejszemi haustami kipiącego szampana, opowiadał dalej swoją historyę:

— Otóż pomiędzy tymi ludźmi znalazł się jeden farmazon! A diabeł mógł się go w tym człowieku spodziewać! bo to licha szaraczkowa kapota, ladajaka peruka....

— Hej! hej! wojewodo! — zawołał Edmund w tem miejscu, — daruj-że mi już resztę jego ubioru! I daruj mi zresztą całą tę farmazońską historyę....

— Zaraz, zaraz, tylko jeszcze dwa słowa! Otóż ten człowiek jak się wziął łasić koło mnie, tak mnie i namówił nakoniec, żebym jednego wieczora poszedł z nim do jego przyjaciół. Piękni mi przyjaciele! nieprzymierzając...

Tu pan Sieniawski powiódł iskrzącem okiem po całem towarzystwie i powtórzył jeszcze raz:

— Nieprzymierzając!... Ha! i ja byłem tak głupi, że poszedłem; tę tylko miałem przezorność, żem wziął moją grubą trzcinę ze sobą, w której był sztylet ukryty...

— Sztylecikami się bawisz! zawołał Edmund, — cha cha cha! tak coś niby jak Kamil...

— Poczekaj-że pan; otóż prowadzi mnie ten łotr w jakąś ciasną ulicę i wprowadza nareszcie do jakiejś ogromnej kamienicy o kilku piętrach. Błądzimy po ciemku po schodach, po kurytarzach, po sionkach i wchodzimy nakoniec do jakiejś wielkiej autykamery, w której to mnie uderzyło najpierwej, że cała ta wielka izba oświecona była tylko jednym kinkietem, osadzonym w wywróconą zębami i szczeką do góry trupią głową, i przybitą przy drzwiach na ścianie... Do tej izby wyszedł przeciwko nam jakiś całkiem czarno ubrany, któren się z moim towarzyszem porozumiał na migi i zaraz mnie obadwa wpuścili do izby drugiej.... Na widok tego, com tam obaczył, cofnąłem się z przerażeniem i chciałem uciekać, ale te dwa łotry, którzy szli tuż za mną, potrącili mnie naprzód całą siłą swych pięści... Przeskoczyłem więc jednym susem dwa gołe miecze na krzyż złożone na progu i znalazłem się w jakiejś ogromnej sali, która była cała suknem czarnem wybita i od miejsca do miejsca trupiemi głowami przyozdobiona.

— Straszne rzeczy nam opowiadasz, — przerwał Edmund słuchając, — czy tak było w istocie?

— Oświecenie tej sali, — ciągnął dalej Sieniawski, nie zważając na zapytanie, — składało się z dwóch waz ogromnych, napełnionych jakiemś gorejącem djabelstwem, które z ich wnętrza czerwonemi i niebieskiemi płomienia.

mi buchało do góry i miotało na całą izbę światło prawdziwie piekielne. Pod ścianą drzwiom przeciwległą stał stół ogromny, na nim widać było krucyfix w trupią głowę wsadzony, a przy nim leżały znowu dwa gołe miecze na krzyż złożone. Za tym stołem siedziało dwunastu mężów czarno ubranych; byli bledzi jak trupy, lecz wyglądali jak djabły. Ci, zobaczywszy mnie, porwali się wszyscy od stołu i zawolali strasznym głosem po trzy kroć: Śmierć zdrajcy!... Mrowie mnie przeszło od stóp do głów, włosy kółkiem na głowie stanęły, chciałem coś przemówić, nie mogłem...

— Cha cha cha! — przerwał znów Edmund, — kuso już było około ciebie.

— Słyszałem tylko, – ciągnął dalej z energią staruszek, jak ów łotr, który mnie tam zaprowadził, zapiszczał do mnie szatańskim głosem. A widzisz! rzecz całą wydałeś Michałowi Zabielle i myślałeś, że to ci ujdzie na sucho, ale to nie tak!... A w tem przyskoczyli do mnie dwaj inni z sztyletami i jeden z nich pchnął mnie w pierś, ale sztylet posunął się po kości i poszedł poza skórę... Widziałem tedy, że już nie mam nic do stracenia; więc odskoczyłem od nich i jak sypnę jednego z nich moją laską w ciemię, zaraz upadł jak drzewo, ja też zaraz drugiego, padł i drugi.... Zerwali się tamci od stołu, ale ja tymczasem uderzyłem we drzwi, do przedpokoju, stamtąd do sieni i tyle mnie już widzieli... Ryk tylko piekielny za sobą słyszałem. Otóż to tak mnie farmazoni złowili! (D. c. n.)

KSIĄDZ JACEK.

Gawęda klasztorna.

(Ciąg dalszy.)

Tedy w tym konwencie, a był bardzo stary!
Od wieków by jednej niewidziano mary,
Aż za czasów Jacka, moi braciszkowie!
Czart się u nas zjawił, jako w Częstochowie.
Raz, gdy północ biła na owym zegarze,
Wpada na klasztoru sklepy, korytarze,
Horda niewidoma, świszcząca, rycząca.
Turkot po sklepieniach, by z wozów tysiąca,
Kiedy po kamiennym zajeżdżają bruku.
Na rozgłos piekielny łopotu i huku
Wszyscy się zrywają, choć już dobrze spali,
I biegną z cel myśląc, że się klasztor wali.
Lecz nagle ucicho, już milczenie głuche,
Tylko coś szumiało, jakby w zawierzuchę,
I zeszli się wszyscy, i wszyscy zdumieli,
I każdy na nowo powrócił do celi.
Lecz ledwie co powisł im sen nad oczyma,
Na gankach, sklepieniach znów coś huczy, hryma,
I piszczy i jęczy, znowu tyle huku,
Jakby tysiąc wozów leciało po bruku.
Znów wszyscy braciszki opuścili cele,
Gdzie uciec? Do boga! Zeszli się w kościele.
„Oremus“ i wszyscy padli na kolana,
I psalmy pokutne śpiewali do rana.
Po mszy klasztor cały gęsto pokropiono,
I aż do wieczoru modląc się poszczono.
Lecz śmiał się w kąciku diablik przycupnięty,
Jak Ambrozy kropił i kadził Gaudenty.
«Cóż głupie braciszki rogów mi nie utrą,
Dym i woda zniknie a ja wrócę jutro.»
Więc nic nie pomogły psalmy i modlitwy,
W nóc drugą czart znowu wyprawiał gonitwy.

Już bracia wciąż prawie w kościele siedzieli,
Więc bies gospodarzył w konwencie tem śmielej.
Habity jak kurtki kuso pookrawał,
To czasem rannego dzwónka głos udawał,
Więc fratrzy na pacierz, a bies kontent z psoty,
Jak puszczyk z poddasza wyprawiał chichoty,
Wołał fratrów z celi, to do drzwi kołatał,
Lecz figle największe wciąż Jackowi płatał.
Coś nagle wyprzątło obfite śpiżarnie,
Śród dnia wydusiło klasztoru owczarnie.
A nigdzie poślaku ni wilka ni lisa,
To znów jakiś figiel szalonego bisa.
I martwią się bracia; istna kara boga,
Mieć w domu takiego złośliwego wroga,
A żadnej na niego sposobu obrony!

Już gruchła straszliwa wieść na wszystkie strony,
Że sam bóg na zakon zesłał to przeklęcie,..
Kto zna, co się działo kiedy w tem konwencie?!..
Ksiądz Jacek na serjo już się począł smucić,
Gdy złe potrwa dłużej, trzeba klasztor rzucić;
Jeszcze na intencją poszczą wciąż braciszki,
Lecz w krótce nie stanie strawy ani łyżki.
I pić co nie będzie, prócz miodu, wódeczki,
Coś wodę wylewa z konewek i beczki.

Ksiądz Jacek posumiał, siwą głowę zwiesił,
A kaptur na czoło i na uszy wniesił,
I ogród przebiegał od końca do końca,
I wzdychał, jak dusza zbawienia pragnąca,
A byłożbo czemu! W niebytność przeora,
Na Jacku ciężyła opieka klasztora.
„Opiekuj się bracie, gdy nań czart napada,
Lub może i cała piekielna gromada.»
Więc biedny narzekał wtem coś nagle stanie,
Jak panna w katance kusej na parkanie.
Katanka czerwona, a oczka figlarne,
Ramiona bielutkie, a kędziory czarne,
I śnieżną nóżeczką na płocie się chwieje,
A lekka że zefir zdaje się ją zwieje,
Ksiądz Jacek ją ujrzał, ona przechylona,
Chce jemu z parkanu rzucić się w ramiona.
«Czerwona katanka! A wy wszyscy święci!
Tu znowu się jakiś diabli figiel święci.»
Przeżegnał się, w gąszcze nurka puścił skoro,
A za nim panienka, jak wydra w jezioro!
Lecz słabe już były nogi starowiny,
Już słyszy za sobą wietrzny bieg dziewczyny,
Więc stanął. Nim zdołał wydobyć krzyżyczek,
Już całus płomienny upiekł go w policzek,
Aż krew w nim młodości nurtami zawrzała,
Lecz darmo, ksiądz twardy, stara kość jak skała,
Natężył ostatnią siłę mdławej ręki,

I krzyżem odpędził to widmo panienki.
Poleciał ksiądz Jacek naprost do klasztoru.
A drżał jakby ujrzał białe widmo moru.

Zasłabł, fratrzy Jacka położyli w łóżko,
Jako dla chorego wysłane rogóżką,
Zdrów sypiał na deskach, dziś nie żądał leków,
Tylko parę gromnic, krzyżów i krzyżyków,
Po takiej przygodzie zadrzemał spocony,
A sen go unosił w jakieś cudne strony,
Anieli go widzą i naprzeciw biegą,
W pośrodku nich ujrzał Bernarda świętego,
Ten rzecze mu słodko: „Jacku świątobliwy,
Mnie boli, że konwent wasz tak nieszczęśliwy,
Bo szczerze się wasze duszeczki modliły.
A że tyś szczególnie panu Bogu miły,
Więc klasztor przez ciebie od bisa wybawię.
Co ja ci tu powiem, wykonaj na jawie.
Gdy z wiarą, z nadzieją siły swe wytężysz,
To z mieczem Chrystusa cały świat zwyciężysz,
Lecz nie z dala, z boków bić, lecz prosto w czoło,
Tu zwalcz, reszta padnie, jak mierzwa w około.
Ależ na szatana szabla nie pomoże,
Na niego weź bożą moc i słowo boże.
Oto mój braciszku obmyj czysto rękę,
Na niej świętą krydą wypisz bożą mękę,
I dłonią choć słabej ręki lecz święconej,
Daj czartu policzek a to z lewej strony,
A straszną moc przytem wielkiej bożej chwały,
Nie ty jeno ujrzysz, ale naród cały.
Bądź zdrów, ja tu dłużej pozostać nie mogę,
W stań, pomyśl i działaj, a ja dopomogę.”

Braciszki siedzący koło Jacka w celi,
Przecudną woń czuli i jasność widzieli,
A w jego obliczu jakiś mir uroczy,
Jacek się przebudza i przeciera oczy,
I z łoża boleści jak młodzieniec skoczy,
Przed znakiem Chrystusa pada na kolana,
I wznosi hymn dzięków do Wszechświatów pana,
A z serca całego wtórzą braciszkowie,
Różne się im snują domysły po głowie,
Co to jest? lecz Jacek nie mówi ni słowa,
Co słyszał i widział, to dla siebie chowa.

Schowało się słońce, chłodny mrok opada,
Już głośniej zdrój w jarze coś do jodeł gada,
Jak zwykle wieczorkiem sąsiad do sąsiada;
Gdzieś ptaszę zajęczy, lub wietrzyk zaszumi,
Lecz nikt owych jęków, szeptów nie rozumi,
Po pacierzach światła gasły o tej porze,
I cicho, ponuro bywało w klasztorze.
Li kogut znak dawał z swojej braci zgrają,
Kiedy duchy wyjdą, a kiedy wracają,
Lecz odkąd konwentem bies jezdził w powozie,
W klasztorze braciszki żyli jak w obozie,
Kładli się w habitach podczas nocy całej,
U fratra każdego dwie lampy gorzały,
Na pierwszy huk dachu, ze samotnej celi,
Do sali obradzeń wnet wszyscy bieżeli.
Lecz dziś nie czekali, nim diable powozy,
Zadudnią, zatrzeszczą, że włos wstawał z grozy,
Ale w sali obrad wszyscy zgromadzeni,
Już siedzą, na Jacka patrzą się zdziwieni.
On milczał a kredę i wodę poświęcał,
A prawą swą rękę koronką okręcał,
Na drugiej tą kredą trzy wypisał krzyże.
Na piersi jak pancerz nawieszał szkaplerze,
I ukląkł na środku i drżący, schylony,
Niebiańskich zastępów upraszał obrony.
Gdy wstanął, już serce odwagą zawrzało,
I zapał młodzieńczy zażegnał twarz całą,
Wziął dzbanek, kropidło i ruszył do sieni,
«Gdzie idziesz?» krzyknęli fratrzy przestraszeni.
«Chcę walczyć z szatany, odrzekł, ile mogę.»
Choć mu perswadują, i zaskoczą drogę,
Bo z czarty nie żarty o północnej chwili,
Lecz marnie i upór i łzy wysilili,
On chwycił pochodnię: «Ja tak chcę, rzekł, każę!»
I puścił się w ciemne jak grób kurytarze,
Dziś Jacek przeorem, więc słuchać należy,
Zostali czekając, choć się włos im jeży. (D. n.)

Moda w wyrobach srebrnych i złotych.

Moda zmienia się co chwila. Lecz podczas gdy w sukniach nie zawsze idzie za pojęciem estetycznem, w wyrobach kruszczowych coraz więcej przestrzega form pięknych. W następującej rozprawie spróbujemy dać czytelnikom naszym krótki rys panującej dzisiaj mody w robotach złotych i srebrnych a szczególniej toaletowych.

Zaczniemy od kulczyków. Jest to strój używany we wszystkich prawie znanych krajach, a to wyłącznie prawie przez kobiety. Teraz noszą kulczyki w kształcie okrągłego lub obdłużnego pierścienia, z bontonami ze złota *mat,* brylantowemi, z korali, i innych kamieni drogich. Również zamiast guzika dają ozdobny bukiecik z brylantów. Oprawa bontonów czyli guzików tak jest urządzona, iż z kólczyka wyjęte, do szpilek przyśrubowane, i do upięcia włosów użyte być mogą. W ogóle zwyczaj jest powszechny urządzać każdy klejnot do rozmaitego użytku, jako szpilkę, broszę, kulczyk i t. d. Wisiorków już u kulczyków nie noszą zupełnie, a w tem widzimy wielki postęp dobrego smaku.

Duże szpilki do włosów, któremi upiąć można warkocz a główki użyć do stroju, widać coraz więcej. Piękna n. p. jest następująca forma główki: na szpilce złotej jest pierścień dosyć duży, podobny do ślubnego lecz większy nierównie. O pierścień z każdej strony opiera się piękny liść fantastyczny z błękitnej emalii, otwór pierścienia tak przykrywający, iż przez szpary międzyliściowe widać odwrotną złotą stronę liścia drugiego. Szpilka ta choć wygląda *masiw* ma jednak formę swobodną. Podobne szpilki robią z srebra i pozłacają grubo. Grzebieni wykładanych złotem i kamieniami nie noszą wcale. Diademów również nie widać nigdzie. Czasem tylko widzieć można diadem brylantowy, który najczęściej robią w ten sposób, iż w siedm części się rozbiera, z których każda część osobno użyta

być może. Środek jako agrafa do upięcia welonu u włosów lub jako brosza, inne części to jako szpilki do włosów, to jako brosze mniejsze do chustki i kołnierzyków, to jako szpinki i t. d.

Na szyi nie noszą już *kolii* zupełnie. Czasem noszą sznurek pereł z zameczkiem brylantowym, lub drobniutki wenecki łańcuszek, na którym wisi emaliowany liść powoju albo mała złota książeczka, obrzucona gałązką powoju. Pod książeczką i liściem w ukryciu jest mały schowek na pamiątki drogie, włosy lub t. p. Piękna szyja najpiękniej się jednakowo wydaje bez wszelkich przyozdobień. Dla tego teraz garnitur złoty składa się jedynie z *brazolety, broszy*, i *kolców*.

Brosze noszą bardzo swobodnego rysunku, kształtu wstążek, liści lub całych gałązek. Wstążki złote *mat*, splecione zawiło, z wypukłością, ozdobioną granatami lub brylantami; albo szeroka złota wstęga, jak gdyby sprzączką lub obręczem spięta a na spięciu przyozdobiona drobnemi rozetami brylantowemi lub opalowemi. Albo gałązka z liściem biało emaliowanym lub perłami narzuconym, kwiat z emalii niebieskiej, a we środku brylant. Wchodzą teraz bardzo w modę brosze okrągłe jak obręcz, we środku jedna połowa obręcza wyciągnięta jest gładko i pokrywa połowę prawie całego koła. Tak utworzone są na wierzchnej części broszy dwa szerokie, ostremi kantami zakończone skrzydła, obrzucone arabeską emaliowaną. Przez środek obydwu skrzydeł idzie przedział, wypukle się wznoszący, na którym granaty lub turkusy, a w środku brylant lub perła. Drugą połowę broszy stanowi prosty obręcz. Również gemmy lub kamee, oprawne w złoto, noszą w broszach. Mężczyźni na piersiach noszą złotą szpilkę z soliterem w złotej oprawie albo główką w kształcie gruszki.

Damy nie noszą już długich na szyi łańcuszków od zegarków, ale krótkie, drobne, od broszy do pasa, przypięte dwoma szpilkami, na których wisi zegarek. W samym środku tego króciutkiego łańcuszka są grubsze ogniwa, ozdobione emalią lub kamieniami. Kluczyk od zegarka wisi jeszcze na cieńszym, zaledwie kilka cali mającym łańcuszku. Mężczyźni noszą łańcuszki z łusek pancerzowych albo kółek pokrzywionych dziwacznie, najczęściej *mat*. Łańcuszki sięgają od kieszeni aż do dolnego guzika u kamizelki; w środku bywają grubsze, jak po końcach.

Brazolety najulubieńsze są kształtu winogron lub gałązek; liście są zasiane drobniutkiemi brylancikami, jak rosą perłową. W środku n. p. jest niebieska emalia, pod którą się ukrywa zegarek, albo zielono emaliowany liść powoju, pod którym jest schowek zamknięty na dagerotyp. Noszą także łańcuszki z grubych pierścieni, przy których wiszą rozmaite ozdoby z złota lub kamieni. Bardzo piękne są brazolety z bardzo drobnych ogniwek, szerokie na cal jeden, zupełnie elastyczne, naplecion z złotego drutu wisi często opal lub inny kamień drogi.

Najgustowniejszym *pierścieniem* jest prosta obrączka złota, z soliterem na wierzchu. Noszą także teraz rubiny i topasy na pierścionkach, równie jak i obrączki emaliowane. Głównie na pierścionkach unikają wszelkiego przeładowania. Forma obrączki powinna być prosta, bez wszelkich wymysłów i wykrojów; kamień jeden i głęboko oprawny.

Teraz jeszcze kilka uwag co do *serwisów*. *Czajniki*, równie jak *wazy* i *puchary* najpiękniejsze są *à l' antique* z uszkami z słoniowej kości. *Maszynki do kawy* mają kształt okrągłych garnków, u dołu grubszych, u góry węższych, z podługowatą tulejką i z uszkiem z słoniowej kości lub hebanowem; wieczko kształtu kopuły, a na wierzchu zakwefiona postać niewieścia, w której z miłości do mokki domyślamy się pięknej Turczynki. *Cukiernica* stósowna do powyższych dwóch sprzętów, może być następującego kształtu: Trzy delfiny spoczywają na podstawie, wyciętej w trójkąt, i dźwigają na swych ogonach pękatą okrągłą czarę, wznoszącą się ku węższej nieco szyjce. Wieko mozajkowane. Najwięcej używają teraz cukierniczek z kolorowego szkła, kryształu lub srebra, płytkich i otwartych. Widzieliśmy jednę, spoczywającą na szerokim grzbiecie słonia, tego symbolu krajów, gdzie rośnie trzcina cukrowa. Inna cukiernica była w kształcie muszli, spoczywającej śród trzciny na szerokich liściach roślin wodnych; po obu stronach stoją albo dwa bociany, albo dwa łabędzie, smukłe swe szyje opierając o trzcinę cukrową. Te kształty państwa roślinnego używane są do wszystkich przedmiotów, nawet *szczypce do cukru* wyobrażają gałęź powoju, a po końcach jest większy liść powojowy, mający wewnątrz kolce, aby lepiej ująć cukier. *Czarka na owoce* przedstawia n. p. silny pień winnej latorośli dzielący się na dwa konary, pomiędzy któremi w kształcie muszli spoczywa czarka. U pnia winnej latorośli zatrudnionych jest dwoje dzieci, chłopiec i dziewczyna. Na klęczącej dziewczynie sparł się chłopiec aby dostać za wysoko wiszących winogron. Winogrona i konary obrzucone dużemi liściami. Jeden konar wspina się po przy samą czarkę i tworzy wysoko wystające uszko. Inne gałęzie wiją się w około krawędzi czary, której wielkiego wdzięku odmówić nie można. *Noże, widelce* i *łyżki* robią z trzonkami, przedstawiającemi gałęzie i liście z kwiatem i owocem. Sama owalna łyżka wydobywa się w pięknem zagięciu z pośrodka liścia. Trzonki od widelców robią kręcone jak ślimak w samem ujęciu; dalej ślimak ten przechodzi w prosty cylindrowy, z trzech prętów złożony pień, z prętów tych u samego dołu zrobiony lekki węzeł, z pomiędzy którego wydobywają się trójramienne grabki. Łyżki większe półmiskowe mają kształty najgustowniejsze. Widzieliśmy łyżkę, której trzonek przedstawiał słup z liścia utworzony, na którym jako rękojeść

sama spoczywała w wypukłej rzeźbie Diana. Łyżka sama z drugiego końca słupa liściowego wydobywała się jako wielki i głęboki zasklepiony liść.

Jeszcze słowo o *lichtarzach*. Lichtarz mały na toaletę lub biórko, utworzony jest z liścia w kształcie muszli; krótko ułomana szypułka służy za rączkę. W samym środku liścia stoją dwa kielichy kwiatowe, jeden na drugim, jeden zwrócony na dno, a drugi ku górze tworzy otwór, w który świeca się wstawia. Najmodniejsze są w kształcie kolumny; podstawa sześciokątna utworzona jest z silnych liści pączków i kwiatów. Z pośrodka tych kwiatów i liści wznoszą się smuklejsze gałązki po okrągłym słupie do góry i tworzą, wydobywszy się na sam wierzch i owisając znowu na dół, kapitele słupa lichtarzowego. Inny kilkoramienny lichtarz widzieliśmy następującej formy: Trzy duże liście, obrzucone drobniejszemi, tworzą podstawę, z której spinają się gałązki po pniu do góry, który się w górze na cztery dzieli konary, obrzucone liściem i kwiatem. Cztery największe kwiaty wznoszą swe kielichy do góry i wstawia się w nie świece. W środku zaś rośnie pień w pionowym kierunku jeszcze wyżej, i kończy kielichem kwiatowym, w którym piąta zatknięta świeca.

Rozmaitość.

* Przy serenadzie jaką wyprawiono w naszem mieście dla główno dowodzącego barona Hess, i która jak łatwo pojąć, zgromadziła liczne bardzo zgromadzenie, pomiędzy słuchaczami znajdywał się i Jego Cesarzewiczowska Mość nasz najdostojniejszy Arcyksiążę, który incognito zupełnie stał na boku przeszło godzinę.

* W wilię urodzin Jego Cesarzewiczowskiej Mości dane było w teatrze przedstawienie niemieckie, przy rzęsistem oświetleniu. Zgromadzenie w sali teatralnej było tak liczne jak nigdy prawie, i sprawiało dla oka widok bardzo zajmujący. Bo aby uczcić szanownego solenizanta i gościa naszego, wszyscy przybyli w strojach świątecznych, co nadawało sali teatralnej powierzchowność bardzo powabną. Tegoż samego dnia o godzinie 9tej wieczornej przed willą hr. Skrzyńskiego, zamieszkaną teraz przez Najdostojniejszego Arcyksięcia, 5 band wojskowych odegrały ogromną serenadę pod dyrekcyą kapelmistrza 2go pułku piechoty. Serenada zakończoną została hymnem ludowym **Segen Oestreichs.** Nazajutrz, w niedzielę dnia 30. lipca, jako w sam dzień urodzin, do dnia już powiewały na wieży ratuszowej, obok Cesarskiej chorągwi, cztery mniejsze o barwach naszego miasta. O 9tej z rana uroczysty głos dzwonów zwołał lud pobożny do kościoła archikatedralnego, gdzie się odbyła wielka i uroczysta msza. Liczne tłumy zebrały się do świątyni, by błagać o szczęście dla szanownego i dostojnego gościa naszej stolicy. Znajdowali się na mszy tej: JEx. hr. Namiestnik z urzędnikami wyższemi i niższemi wszelkich gałęzi, równie też J.E. jen. Vogel zastępca komenderującego na czele jenerałów i sztabsoficerów całej załogi naszej. Wszyscy w galowych mundurach. Byli prócz tego i stanowi obywatele bardzo licznie zebrani, w mundurach swoich, i wszystkie inne urzęda świeckie i duchowne z szefami swemi na czele. Celebrował ksiądz Infułat i proboszcz katedralny, kanonik Ostrawski. Cały dwór i służba Arcyksięcia znajdywali się na nabożeństwie w nowych mundurach. Muzyka na chórze licznie i dobornie zebrana, pod dyrekcyą kapelmistrza pana Piotrowskiego, odegrała wielką mszę kompozycyi Hahna. Wykonanie było wyborne, w swej całości jako też we wszystkich szczegółach. W końcu mszy odśpiewano śpiew ludowy przy kotłach i trąbach. W pomieszkaniu Arcyksięcia otwarta była lista dla winszujących, którzy też, podzieleni na urzęda swe czy świeckie, czy wojskowe, czy duchowne z szefami swemi na czele, spieszyli tam aby się z szczeremi swemi zapisać życzeniami.

* Przedstawiamy sobie zwykle Rossjanów jako tęgi naród którego siła i zdrowie krzepkie i czerstwe jak orzech, którzy mają powołanie, tęgością swych sił fizycznych odświeżyć nadgniły zachód. Tymczasem w tym względzie Dr. E. Nussdorf, lekarz znany jako głęboki badacz, w Archiwie umiejętności dla Rossyi (Tom XI, st. 194) w r. 1852, więc przed wojną tegoczesną, bez żadnego zamiaru politycznego, li ze stanowiska umiejętności i ludzkości wcale co innego ogłosił. Artykuł ten o nacjonalnych chorobach w Rossyi ze wszech miar godny uwagi i tem więcej interessujący w dzisiejszych czasach, że nam wytłumacza ową straszną śmiertelność, która w przedostatniej i teraźniejszej wojnie z Turcją tak okropnie przerzedza szeregi armij rossyjskich. Wedle badań p. Nussdorfa, które czynił w samej Rossyi, są cztery choroby, które tak gęsto najniebezpieczniejszemi symptomatami tamże się wkorzeniły, jako to: szkarlatyna i szkrofuły, między pokoleniem młodem, a szkorbut i choroby z używania merkurjusza pochodzące, między dorosłymi grassujące. „Szkrofuły, mówi on, są dla Rossyi, szczególnie w północnych krajach, plagą tak okropną, że niema staranności i poświęcenia, któregoby lekarze i uczeni na najgruntowniejsze jej zgłębienie łożyć nie powinni; bo nigdzie niepada tyle ofiar tego politowania godnego a tak głęboko tamże wkorzenionego, znacjonalizowanego zła, ile w Rossyi. Żaden naród niema dla tej choroby własnego, osobnego nazwiska; w Rossyi sołotucha (szkrofuły) tak jest słowem czystorossyjskiem jak knut. Podróżując z Petersburga do Moskwy uważał p. Nussdorf, że szkrofuły najwięcej panują po większych miastach i w tychże okolicach, szczególnie zaś przy gościńcach, któremi bryki kupieckie i wojska z kwaterunkami swojemi przeciągają. Na kilka mil w około Moskwy zaraza ta tak okropnie grassowała, że, chciawszy wszystkich chorych i kaleki pomieścić, w każdej wsi musianoby szpital zakładać." Częsty brak nosów, suchoty, których ofiarą dorośli, szczególnie zaś żołnierze po szpitalach massami padają, jako też gęste zapalenie oczów, które się zwykle na ociemnieniu kończy, wywodzi autor ze szkrofułów. O szkorbucie pisze tenże, iż przeszedł niejako w organizm Rossyanów. Skłonność do niego wszczepiona jest całemu narodowi, dokąd owe niewolnicze poddaństwo sięga; z tąd trzeba wywodzić tę wielką śmiertelność po wielkich miastach, między zarobnikami, którzy się z samych mużyków składają. Wszelkie chroniczne słabosci tamże pochodzą z zarodu szkorbutowego, a brak, zepsucie i gnicie krwi im towarzyszą. Postrzega się to najoczywiściej na rossyjskish żołnierzach. Skóra ich ciała jako wyprawiany jucht; gdy w zimie, przy mrozie 25 stopniowym całe szwadrony lub pułki przechodzą, to nie ujrzysz w tych massach, najwięcej z młodych ludzi złożonych ani jednego, któremuby takie zimno krew do lica napędziło; sinożółci wyglądają wszyscy pomimo młodości, pomimo ruchu i mrozu, który każdemu człowiekowi z zwyczajną zdrową krwią twarz rumieńcem okrasi. Pod chorobą merkurjuszową rozumie autor owe choroby, które z zażywania merkurjuszu pochodzą, i które w Rossyi tem liczniejsze są, że tam merkurjusz nietylko wewnętrznie przeciw zarazie, ale także zewnętrznie na bole krzyżów, zębow, głowy i do wytępienia gadu bardzo często używanym bywa. A gdy doliczymy do tych pięknych darów rossyjskiego organizmu jeszcze i u nas znane skutki gorzałki niclutrowanej i kołtun: to możemy sobie bardzo piękny i zajmujący obraz wystawić o odświeżeniu, którego się siła fizyczna Europy po owych nienadpsutych Rossyi synach przyrody spodziewać może i odczarujemy się w przekonaniu, że nie ten tęgi, który z nędzy przywykł spi-

jać takie massy okowity i spore cebry kapusty z grochem i t. d. pomieszanej wyprzątywać, a na widok pałek i nahajki w kocowych mundurach i z oślim pakunkiem robi po tyle mil marszu!

* **O handlu niewolnikami.** Z wybrzeża czerkieskiego, podają nam dzienniki następujące doniesienia: „Jedyny handel Czerkiesów jest handel pięknemi dziewczętami i chłopcami. Handel ten, najohydniejsza plama ludzkości, który podczas blokady wybrzeżów czerkieskich przez Rossjan zupełnie ustawał, dziś największe przybrał rozmiary, gdyż wszelkie przeszkody usunięte, a ceny tego towaru w Stambule bardzo wysoko stoją. Kupcy sprzedają dziewczęta na targowicy niewolników tamże trzy razy drożej niż je kupili. Mnóstwo statków przybywa codziennie do wybrzeży około Zetigond, kapitani i faktory z żagli stawiają namioty, i za perkale i inne materje biorą od Czerkiesów niewolników, dziewczęta i chłopców, także i za sól. Wracają czasy bohaterów homerowskich, którzy kobietę wedle piękności na trzy lub cztery woły szacowali (co jak na owe czasy nie bardzo wiele wynosić musiało,) a kruszcowy trójnóżek wartował nieraz więcej, niż najpiękniejsza kobieta. Także i z drugiej strony czarnego morza, z Trebizondy, ciągnie wiele statków ładownych niewolnikami i niewolnicami, przeznaczonemi do Konstantynopola. Należy się spodziewać, iż rządy angielski i francuski na ten szkandał, który tem więcej zraża w dzisiejszych zapasach cywilizacji z tyraństwem, zwrócą swoją uwagę i koniec mu położą. Już w układach swych z Szamilem położyli jako warunek aby swym poddanym wzbronił sprzedaży dziewcząt i chłopców.

* Wyjaśnienie ryciny do przeszłego numeru dla prenumeratorów mód załączonej: Nr. 1. kołnierzyk dziecinny dla małego chłopca skrojony. Batyst ułożony na desseniu, kwiaty połączone są z sobą łańcuszkiem dzierzganym. Nr. 2. kołnierzyk haftowany atłaskiem i dzierzgany w około. Nr. 3. Garnitur w zęby, wykonany atłaskiem, do falban u sukien damskich albo dziecinnych. Nr. 4. chustka haftowana *en application*, batystowa na tiulu. Można również haftować ten wzór atłaskiem dzierzgając na batyście. Wtedy wyciągają się nici i robi się ściegiem koronkowym we wszystkich częściach znaczonych krzyżykami. Nr. 5. i 6. garnitur haftowany ściegiem angielskim do toalety dziecinnej. Nr. 7. wstawka do spodnicy, umieszcza się ten haft około siedm cali po wyżej obrąbka dzierzganiem, łącząc środki kwiatów. Nr. 8. Róg do chustki haftowany atłaskiem i podkładany. Nr. 9. i 10. Róg do chustki haftowany atłaskiem. Nr. 11. Cyfra ozdobiona koroną haftowana atłaskiem. Nr 12. 13. 14. Imiona haftowane atłaskiem. Nr. 15. Imię haftowane łańcuszkiem. Nr. 16. Imię haftowane ściegiem angielskim. Nr. 17. Kołnierzyk zapinający się z tyłu, przód ozdobiony wstawkami i bufkami z muszlinu, garnirowany koronką *valenenciennes*. Kołnierz amazonki garnirowany w koło koronką *valenciennes* lekko marszczoną. Nr. 18. Rękawek stosowny do kołnierzyka. Nr. 17 i 19. Czypeczek wiośniany. Ten czypek z blondyny zrobiony bez denka. Blondyny przytrzymywane są rulonami ze wstążki różowej, ozdobione aksamitkami czarnemi. Z każdej strony pęki róż mieszane z fiołkami Nr. 20. Przód stanika Vatteau formują bufki z tiulu bruxelskiego; ubrany jest fontaziami ze wstążki różowej. Nr. 21. Rękawek bufkowany stosowny do stanika Nr. 20. Nr. 22. Berta stanikowa z baskiną. Ta berta robi się z muszlinu, haftowana rzutkami atlaskowemi.

Przyjechali od dnia 28. do 30. lipca do Lwowa:

PP. Michalewski Paweł, z Ponikowicy. Chrzanowski Ignacy, z Sośnicy. Gurkowski Marcin i Kajetan, z Nowego miasta. Niesiołowski Anzelm, z Sokolego. Horodyński Jan, z Brodów. Augustynowicz Bolesław, z Kniaża. Antulski Paweł, z Żydaczowa. Dzieduszycki Kazimierz hr., z Niesłuchowa.

PP. Wiszniewski Józef, z Horyniec. Czacki Alexander hr., z Krechowa. Sokołowski Konstanty, z Ulicka. Żurowski Antoni, z Nehrybki. Henigsberg Piotr, z Mużyłowa. Morawski Konstanty, z Pohorec. Szczepański Tadeusz, z Czaykowic. Leśniewicz Karol, z Bieliny.

PP. Dokupil Jan, z Krakowa. Stankiewicz Szczepan, z Pódlisek. Czajkowski Adolf, z Bobrki.

Wyjechali od dnia 28. do 30. lipca ze Lwowa:

PP. Miliński Franciszek, do Helenkowa. Tworkowski Andrzej, do Brzeżan. Romanowski Antoni, do Złoczowa.

PP. Dzieduszycki Kazimierz hr., do Niesłuchowa. Walewski Alexander, do Kłodna. Kruszyński Henryk, do Dąbrowicy. Badeni Władysław hr., do Surochowa.

PP. Majewski Stanisław, do Rakszawy. Konopka Henryk hr. do Tarnopola.

Kurs telegrafowany z Wiednia 31. b. m. o 2 g. popołud.

Amszterdam	—.	Marsylia	—.
Augsburg za 100 złr.	123 3/8.	Medyolan za 300 lirów	121 1/2.
Bukareszt	221.	Paryż za 300 franków	146 3/8.
Frankfurt za 120 złr. podług 24 1/2 stopy	122 3/4.	Agio duk. ces.	—
Genua	—.	Srebra agio	23
Hamburg za 100 tal. banco.	92 1/8.	Pożyczka 5% 83 1/4. 4 1/2	73.
Konstantynopol	—.	Pożyczka lit. B.	—
Liwurno	119	Akcye banku	1257
Londyn za 1 funt szterl.	12. 6.	Kolej północna	1692 1/2.
		Obl. ind.	5%. —

Kurs lwowski.

Dzisiejszy.	Gotówką		towarem.	
Dukat holenderski	złr. 5	kr. 44	złr. 5	kr. 48.
Dukat cesarski	„ 5	„ 50	„ 5	„ 54.
Półimperyał zł. rosyjski	„ 10	„ —	„ 10	„ 4.
Rubel srebrny rosyjski	„ 1	„ 56	„ 1	„ 57.
Talar pruski	„ 1	„ 50	„ 1	„ 53.
Polski kurant i pięciozłotówka	„ 1	„ 25	„ 1	„ 26
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	„ 92	„ 30	„ 92	„ 45.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**